

Od autora: wspomnienie

(wspomnienie z wyprawy rowerowej w 1990 r. Droga krajowa/międzynarodowa niedaleko Olsztyna. Fragment nowo pisanej książki "Dojrzałe lata" z cyklu "Zza zasłony czasu")

(...)

Ruszyliśmy ponownie w ustalonym porządku – ja, połowica, córeczka. Co chwila się oglądałem; Gabrysia po kilkunastu minutach jazdy przestała zaciskać usta i już spokojnie pedałowala. „Uff, chyba to jednak tylko lekkie stłuczenie – odetchnąłem z wielką ulgą – nic poważniejszego”.

Po dłuższej chwili zobaczyłem przed sobą dwie skąpo ubrane dziewczyny, stojące na poboczu drogi. Jedna z nich trzymała nad sobą duży karton. Kiedy podjechaliśmy bliżej, przeczytałem na nim napis, nakreślony dużymi, koślawymi literami, częściowo naszym alfabetem a częściowo rosyjskimi bukwami: „50.000 w paszczu, 100.000 w żopu”.

„Ja piernicę... mam nadzieję, że Magdzia nie będzie dociekliwa” – przemknęło mi przez głowę. Na szczęście z tyłu nie dotarło do moich uszu żadne zapytanie.

Po godzinie wolnej jazdy pojawiła się tablica z nazwą „Barczewo”. Zatrzymałem się, tym razem już dużo wcześniej sygnalizując zamiar podniesieniem ręki w górę.

– Możemy chwilę odpocząć. Zostało naprawdę niedużo, z siedem kilometrów. – Spojrzałem na małżonkę. – Co z kolanem? Jak się czujesz?

– Piecze trochę, ale już nie boli. Mogę jechać. – Oparła rower o balustradę przy drodze i usiadła na niej. – Naprawdę tylko siedem?

– Tak jest na mapie. Licznik w tamtym roku też mi chyba tyle wskazał.

– Mamo, jeszcze troszkę i będziemy. Nie mogę się doczekać jeziora. – Magdzia odwróciła się do mnie i spytała: – Tato, a co to były za panie? Te co trzymały karton i tam miały coś napisane o paszczu.

„No masz! A jednak... jakbym swojej córki nie znał. Ciekawska do potęgi. I co mam odpowiedzieć?! – Szukałem w myśli wyjaśnienia, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. – At, niech się mama pomęczy”.

Ukradkiem spojrzałem na połowicę, ale tylko schowała głowę w ramionach, zrobiła dziwną minę i wyraźnie próbowała powstrzymać śmiech. „Cwaniara, siedzi za plecami córki i udaje, że nie wie, o co chodzi – myśli kotłowały mi się w głowie, gdyż jednocześnie szukałem jakiegoś wyjścia z kłopotliwej sytuacji. – Najlepiej to zwalić na mnie, jak zwykle”.

– Jakie panie? – Próbowałem odwlec nieuchronne; udając zdziwienie, rozglądałem się na boki. – Gdzie?

„Co tu, cholera, odpowiedzieć”?!“

– Jak wyjechaliśmy z Olsztyna. Nie widziałeś, tato? Stały przy drodze.

„O Matko Naturo, dzięki! No jasne, przecież mogłem nie widzieć! Sama mi podpowiedziała...”

– Nie, nie widziałem, Magdziu. Kiedy? A zresztą, jak jadę z przodu, to nie za bardzo się rozglądam na boki. Może mama widziała? – Nie mogłem się powstrzymać od próby scedowania dalszej rozmowy na połowicę. „A co, niech się nie miga i też pogłównkuje – przemknęło mi przez głowę z lekką złośliwością. – To też jej córka, a nie tylko moja”.

– Jaa? – Połowica otworzyła usta i, zaskoczona, nie zamknęła ich przez kilka sekund. Wreszcie się opamiętała i powtórzyła: – Jaa? Aa... nie, Magdziu, ja też żadnych pań nie widziałam. Kolano mnie boli i tylko o tym myślałam, żeby dojechać. – Rzuciła mi błagalne spojrzenie o pomoc.

Zlitowałem się, zwłaszcza że znalazłem wreszcie w miarę sensowne wytłumaczenie.

– To pewnie były jakieś turystki, na stopa chciały się zabrać. Ale wiecie, z czego jest znane Barczewo? – Spróbowałem zmienić temat rozmowy na mniej kłopotliwy.

– Tatoo... – Mina córeczki i jej skrzywione w grymasie usta wyrażały... niedowierzanie? Lekką urazę? Chyba to drugie i to aż za dobrze wyczuwaną.

Dzielnie jednak brnąłem dalej:

– Jest tu więzienie, znane w całej Polsce przez jednego więźnia. Siedział w nim hitlerowski zbrodniarz wojenny Erich Koch. Był na tych terenach dawnych Prus Wschodnich gauleiterem, to znaczy szefem hitlerowskich władz. Miał wyrok śmierci, ale nigdy go nie powiesili, dopiero niedawno zmarł, chyba z czterech lat temu.

– A dlaczego? – Połowica wyraźnie również wolą rozmawiać nawet o hitlerowskim zbrodniarzu, niż o paniach... „autostopowiczkach”.

– Musiał wiedzieć, gdzie hitlerowcy ukryli słynną „Bursztynową Komnatę”. Zrabowali ją w czasie wojny w Rosji i w skrzyniach przechowywali w Królewcu. – Teraz mogłem się rozwinąć i przy okazji... „może córeczka zapomni i zainteresuje się czymś ciekawszym, niż jakieś panie stojące przy drodze”? – A Koch właśnie tam rządził. Jak Rosjanie zdobyli miasto, to jednak nie znaleźli tego rzeźbiarskiego arcydzieła, gdzieś zostało ukryte lub wywiezione. I do tej pory nie zostało odnalezione. Cały czas pewnie liczono, że Koch wreszcie zdradzi miejsce ukrycia komnaty lub gdzie ją wywieziono. A on nic, zabrał tajemnicę ze sobą do grobu. – Zadowolony z własnej tyrady, brzdęknałem w rowerowy dzwonek. – Odjazd! Gabrysia, jedziemy?

– Możemy. – Potaknęła głową. – Chcę już być na miejscu.

Wolałem nie patrzeć na córkę. „Wie czy nie wie? – przemknęło mi jeszcze przez głowę. – Pewnie coś wie albo się domyśla. Ale co miałem powiedzieć?! Przecież będzie miała dopiero jedenaście lat. Ja w jej wieku o tym ani, ani... no właśnie. Ja w jej wieku. Inne czasy. Echh, nic nie mówi, to nie będę drażył. Że też musiały się napatoczyć te... te, o właśnie, te autostopowiczki”.

– Tato, ja już nie jestem dzieckiem! – Dobiegł mnie z tyłu okrzyk córeczki. – Sama się domyślałam!

„No masz, jeszcze ją nurtowało! Nieodrodna... ale przynajmniej z głowy” – odetchnąłem z ulgą. W odpowiedzi uniosłem tylko rękę z wyciągniętym w górę kciukiem.

(...)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 25.02.2023 09:23

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.